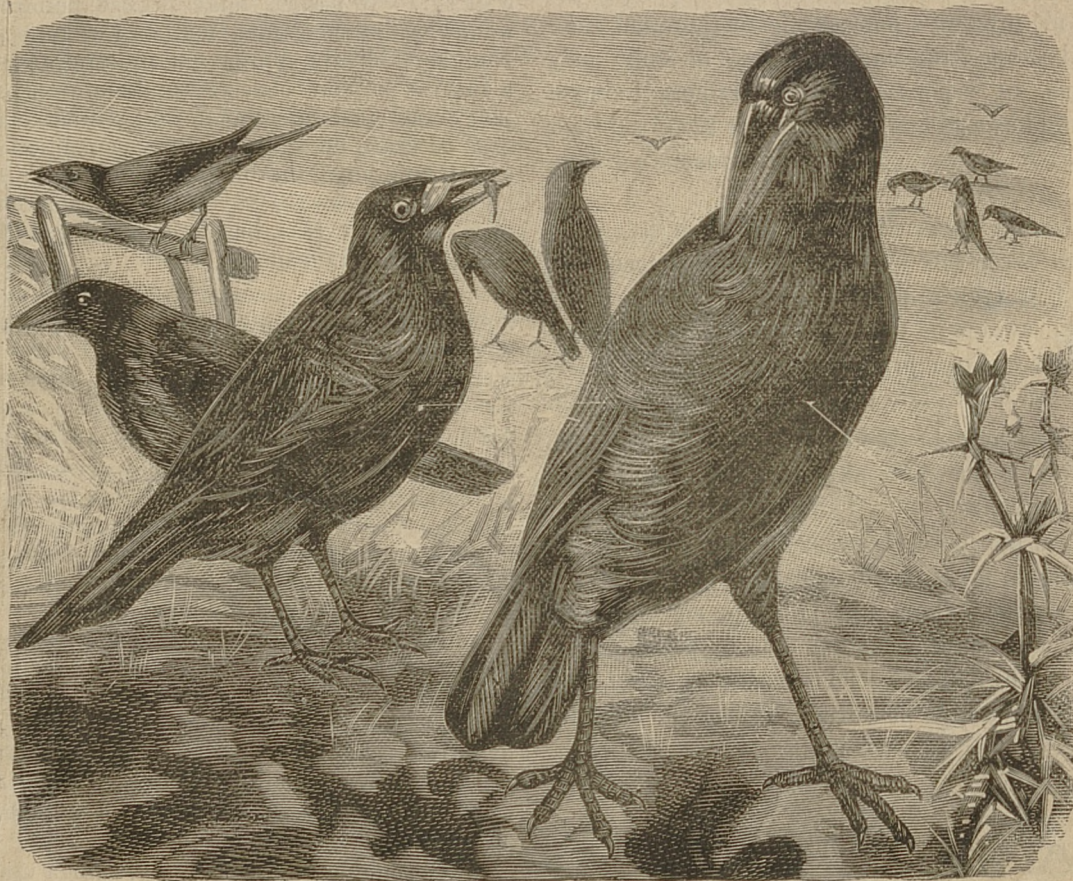




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



КРУКИ.

## K R U K.

Ptaka ten, czarny, ponury, wydający chrapliwe krakanie, uważany jest powszechnie za zwiastuna nieszczęścia. Przesąd to jednak nieuzasadniony, jakże bowiem zwierzę może odgadnąć to, co jest ukryte przed rozumem ludzkim nawet. Prawdopodobnie wierzenie takie przypisać należy powierzchowności kruka i jego sposobowi życia.

Jak widać na rysunku, ptak ten ma piersi zupełnie czarne, dziób długi i gruby i nadzwyczaj silny, skrzydła mocne i szerokie; jeden to z największych naszych ptaków drapieżnych: z rozpostartymi bowiem skrzydłami ma prawie metr szerokości.

Jest on tak przyzwyczajony do zmian temperatury, iż może zamieszkiwać wszystkie okolice świata i spotkać się także tak licznie w Ameryce i w Indyach jak i w północnych krajach.

Kruk jest nadzwyczaj ostrożny; człowiekowi, uzbrojonnemu w strzelbę, nie pozwala zbliżyć się do siebie: powiadają, że potrafi zwąchać proch; to przesada, choć prawda, iż ptak ten posiada bardzo subtelne powonienie, za pomocą którego zdaleka odczuwa trupa. Żywi się robakami, ziarnem, najchętniej jednak padliną. W niektórych krajach jak np. w Anglii i Indyach, ochraniają go troskliwie, wierząc, iż przyczynia się do oczyszczania powietrza zjadaniem gnijących ciał zwierząt.

Na wyspach Faröer natomiast każdy mieszkaniec musi co rok składać w urzędzie gminnym dziób tego ptaka.

Tępią go za to, iż głodny rzuca się często na owce, zwłaszcza na młode jagnięta, wyłupuje im oczy, i pożera, jeżeli pastuszkowie nie przyjdą z pomocą nieszczęśliwemu zwierzęciu. Niejednokrotnie kruk napada nawet na woły, osły i konie; przyczepia się szponami do ich grzbietu i silnym dziobem wyszarpuje kawałki ciała. W Afryce kruki zabijają młode gazelle, przez co wyrządzają nieraz niemałą szkodę ludziom.

Kruk gnieździ się w lasach na najwyższych drzewach, na nieprzystępnych stromych skałach, lub na opuszczonych, ustronnych wieżach starych zamków.

Samica znosi zwykle po trzy jajka zielonawe, upstrzone brunatno, które wysiaduje przez dwadzieścia dni. Twierdzą, iż kruk może żyć do stu lat, trudno to sprawdzić jednak.

W dawnych czasach, kiedy polowano tak zapamiętale, za pomocą sokołów, próbowano układać i kruka do łowów; jest on bowiem inteligentny, silny i odważny, tak iż nie lęka się ani kota, ani psa, ani nawet dziecka, napadnięty zaś broni się skutecznie mocnym, potężnym dziobem.

Kruk pozwala się oswoić i przywiązuje się łatwo do swego pana, można go nawet nauczyć mówić, podobnie jak srokę lub papugę. Lubi jednak pocichu kraść rozmaite błyszczące przedmioty i ukrywać je po norach. Trzymając go w domu, należy się przeto mieć na ostrożności. *Wł. U.*

## N.A. MORZU.

(O B R A Z E K).

Kapitał okrętu ruchem zdradzającym najwyższe wyczerpanie sił, rzucił się na rzeźbiony fotel w swojej kajucie, wsparłszy ręce o zielone sukno stołu, zapełnionego mapami

i przyrządami niezbędnymi dla żeglarzy — złożył na nich głowę i przymknął senne powieki. Po ogrzaniu szerokim jego czole spływały krople potu. Włosy i ubranie nosiły ślady zamoczenia. Niedarmo bo, od dwudziestu niemal godzin, bez chwili wypoczynku wraz z całą swoją załogą walczył na pokładzie okrętu z szalonym huraganem, który zuczając nim wściekle, na wszystkie strony niby lekką łupiną orzecha, jakgdyby poprzysięgł jego zagładę. Masztowiec tym razem bronił się długo i dzielnie. Sam kapitan, a męrga jego i wola były iście żelaznemi — wydawał rozkazy załodze i pomagał własnoręcznie do ich wypełniania, ale siła przyrody okazała się większą od sił żelaznego nawet człowieka i w tej chwili wielki maszt zdruzgotany już nie istniał, a ter wraz z kotwicą oderwały rozszalałe fale unosząc go z sobą daleko...

Pozostawało więc tylko zwinąć wszystkie ocalone żagle, poddać się wyrokom Opatrzności i nie przestając czuwać ani chwili, pozwolić bałwanom rzucać sobą wedle upodobania. Wiedział o tem dobrze kapitan, który choć młody, więcej miał doświadczenia niż niejen wilk morski — jak mówili między sobą majtkowie, wydawszy więc niezbędne polecenia, postanowił nieco wypocząć u siebie. Teraz, światło lampy padało wprost na siedzącego, oblewaną jasną smugą młodzieńczą jego postawę. Jak na kapitana był on w istocie bardzo młody. Mógł mieć lat dwadzieścia pięć lub sześć najwyżej — przepyszej budowy, o rysach regularnych jakby wykutych z brązu i smagłej cerze, spalonej morskimi wiatrami, stanowił uosobienie żeglarza. Gęste brwi ciemne łączyły się niemal na jego czole, świadcząc o nieugiętości charakteru choć znów wyraz twarzy miał dziwnie ujmający. Musiał być strudzony niezmiernie i teraz dopiero poostawszy sam dał folgę temu zmęczeniu, bo przed chwilą jeszcze osobiście wdrapował się na pozostały maszt, chcąc się przekonać, czy nie jest uszkodzony, a głos, którym wydawał rozkazy, brzmiał pełnią siły i tego dźwięku, który wywierał tak szczególny wpływ na tych, co je mieli wypełniać. Ale to teraz, skoro już raz usiadł, poczuł jak bardzo wyczerpująca jest taka walka... W uszach miał jeszcze pełne życie i plusku bałwanów, w oczach ciemną, mglistą i wilgotną przestrzeń oceanu, Noc się zbliżała, burza nie przestawała zaleć ani trochę, a tutaj w kajucie chociaż zamkniętej slychać było nieustający trzask pod uderzeniami fal rozwijających się i dawało się czuć od czasu do czasu gwałtowne miganie statkiem. Wówczas lampa migotała bładem światłem, a to zielonem suknie na stole przesuwano się systematycznie mapy i papiery, lub podskakiwały cyrkle, busole, ekierki i wszystko czem w pośpiechu zostało zarzucone.

Młodzieniec siedział czas jakiś prawie nieruchomie, z przymkniętymi powiekami, aż nagle łokot i szarpnięcie wyrwało go z tego stanu zadumy. Otworzył przytomnie pełne wyrazu oczy, czas jakiś zdawał się nad duchować, lecz przekonany, że to było tylko silniejsze uderzenie bałwanów o ścianę, czy też o małe okrągłe okienko, przymknął spokojnie.

Chwilę błądził wzrokiem po rozrzuconych przed sobą w nieładzie przedmiotach nie zdając się przecieżyć na nie zwracać bacniejszej uwagi, nakoniec zarzucał go dłużej na jednym punkcie, a na jego twarzy odbiła się ciekawość połączona ze wzruszeniem. Nagle, jakby gorączkowo sięgnął ręką i z pod szklanej busoli w brnie przycisku, wydobyl zapieczetowany list, zaadresowany do kapitana kupieckiego żaglowca na Oceanie Atlantycznym. Tym wymienionym był on właśnie, a list pochodził z Irlandii. Poznawał to aż nadto dobrze po kobiecym charakterze jakim był skreślony adres ręką jego siostry. List ów wrzucił mu jeszcze przed dwoma dniami napotkany okręt poczuwy, lecz zaskoczony huraganem, na przeczytanie go nie znalazł dotąd ani chwili czasu.

Obecnie był swobodniejszy, załoga ma wydane rozporządzenia, a zresztą niewiele jest do roboty na pokładzie, można zatem spokojnie przeczytać co tam donoszą z domu.

Drżącą nieco ręką rozłamał pieczętę, wydobyl list, tłumiąc potrochu niecierpliwość, rozłożył papier.

„Drogi mój Tomku — pisała młoda osmastoletnia Józia.

I oto znów mamy zimę, znów nadchodzą święta, te uroczyste prześliczne święta Bożego Narodzenia, które dawniej oboje lubiliśmy tak bardzo, a Ciebie znów pośród nas niema. But-  
jasz po całym świecie na skrzydlatych żaglach twego okrętu,  
a wyrwać ci się w rodzinne strony najtrudniej... Nie myśl  
jednak, że chcę ci czynić wyrzuty, braciszku. Chociaż stę-  
sknieni tu wszyscy za tobą, wiemy przecież, że nie twoja w tem  
wina, bo gdyby tylko było w twej mocy pospieszyłbyś do nas  
jak najprędzej. Ale trudno!.. Człowiek nie żyje po to by móż  
wypełniać swoje zachcenia, lecz dla obowiązków — więc po-  
niósł pragnienia nasze i tym razem się nie spełnia, cieszymy  
się przynajmniej nadzieją, że przyszłe święta, Bóg nam może  
pozwoli spędzić już razem. Teraz, kiedy ci to piszę, mamy  
dopiero koniec listopada, ale wiedząc, że listu nie odbierzesz  
prędzej jak za kilka tygodni, a więc około świąt zapewne,  
chcemy zawczasu przesłać ci obie z matczką na ten czas  
uroczyste, najserdeczniejsze życzenia i tysiące uściśnień,  
wykonać osobiście od tak dawna pragniemy, lecz nie możemy.  
Oby Cię Bóg i nadal strzegł od wielkich niebezpieczeństw, na  
które tak nieustannie naraża Cię twój zawód marynarza,  
a gorliwość i praca prowadziły do coraz wyższych, coraz do-  
nioślejzych celów. Gdybyś wiedział, jak ciągle mamy na  
ustach Twoje imię, nie czułbyś się tak samotnym w twych  
dalekich podróżach, jak o tem piszesz. Myślemy o Tobie drogi  
braciszku, a z żalem wspominam te chwile kiedy byłeś w do-  
mu, a potem przyjeżdżałeś do nas ze szkół na każde święta  
i było nam razem tak dobrze!.. Czy też pamiętasz jeszcze  
te czasy?.. Teraz, znów śniegi zasypały nas zupełnie wśród  
borów, oddzielając jakby zaporą od całego świata, cisza też  
panuje i spokój w naszej zagrodzie, która przybrała po da-  
wemu ten przytulny, sobie tylko właściwy charakter, tak  
lubiony niegdyś przez Ciebie.

A czy też pamiętasz, Tomku, jakto dawniej robiliśmy  
zawsze w dniu świątecznym „coś dobrego”?.. Ty pewnie zapo-  
mniałeś już o tem, ale ja wierna jestem dawnym, dzieciennym  
naszym zwyczajom. Tak przywykłam do tego, że i tym ra-  
zem mam już obmyśloną niespodziankę, a Tobie jako nieobec-  
nemu mogę jej wyjąć bez obawy, żebyś mnie zdradził przed  
czasem. Otóż z własnych oszczędności gospodarstwa udało  
mi się zebrać tyle, że na gwiazdkę będę mogła sprawić bied-  
nym sierotkom po leśniku naszym, ciepłe ubranka na  
zimę i jeszcze po ładnej książeczce do czytania, bo wiesz, że  
moje usiłowania nad niemi odniosły pożądany skutek i oba  
małeństwa czytają wcale nieźle. — Dziś rano był u nas pro-  
boszcz, mówiliśmy o Tobie. Czy pamiętasz nasz mały kościółek  
wśród lasu, w którym to już sześć lat mija jak nie modliliśmy  
się razem, a w ogólnym chórze śpiewających pobożne pieśni  
brakło twego głosu, mój Tomku..."

List ciągnął się jeszcze dłużej, donosząc w dalszym  
ciągu więcej szczegółów z domowej zagrody i rodzinnego  
kółka, lecz młody kapitan doszedłszy do tego miejsca dalej  
nie czytał. Wzrok jego oderwany od pisma, mimowoli jakoś  
pobiegł w stronę wiszącego na ścianie kalendarza, gdzie na  
białej stronie czerniła się cyfra 24-y, a u dołu widniał napis  
„december” i nagle przysłoniła go mgła wzruszenia. Ze  
skronią wspartą na dłoń siedział on nieruchomo, a twarz jego  
niezdolnym

kapita-  
becnym

tam  
jego  
mle  
zd.  
wie-  
are,  
—  
ca,  
trzy  
rej

pieśni, przed dużym, otoczonym świecami obrazem, przedsta-  
wiającym aż do złudzenia ubogą stajenkę, a w niej dzieciątka  
w swej chwale — Boga-człowieka... .

I kapitan, choć przymknął miał powieki, widział teraz  
ten wieczór, domek i obraz święty — podziwiał zda się w za-  
chwycie ten uroczysty spokój w naturze, słyszał jakby oddalone  
dźwięki dzwonu z kościółka, rozlegającego się metalicznie  
w spokojnem mroźnem powietrzu zimowej nocy, — dzwonu,  
który przypominał pobożnym zbliżającą się uroczystość pa-  
sterki. A potem, z kolei, zagościły mu w myśli i przesunęły  
się przezeń zwolna wszystkie lata dzieciństwa, spędzone w tam-  
tych stronach i pod rodzinną strzechą, które to dziś stanowiły  
najdroższe jego wspomnienia. Bo czasy te, nie były przecie  
tak odległe by je trudno było zapamiętać, a życie, choć  
obfite w wrażenia, jednak wyjątkowo jakoś bez zawodów  
i rozczarowań płynące nie zdołało zatrzeć słodkich wspomnień  
młodości.

(d. n.)

## BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. JMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Widzisz pan więc, że aerostat objętości trzy razy więk-  
szy np. od tego, ma powierzchnię podwójną tylko, a siłę  
wzlotu poczwórną, i — co zatem idzie, — jest w stanie dźwignąć  
stosunkowo silniejszy motor. Henryk Giffard obliczył, że  
aerostat objętości 200,000 metrów kubicznych, przebiegałby  
20 metrów na sekundę; mógłby więc opierać się najsilniej-  
szym wiatrom. Pojmujesz pan jednak, że zbudowanie takie-  
kiego olbrzyma połączeniem jest z nieprzewyciężonymi trud-  
nościami. Zadowolniłem się więc powiększeniem objętości  
mego balonu do 3,000 metrów kubicznych. Prócz tego nada-  
łem mu bardziej wydłużoną formę, niż forma aerostatu pp.  
Renarda i Krebsa; tym sposobem udało mi się zmniejszyć  
znacznie opór powietrza.

Ford i sternik z wyteżoną uwagą słuchali tych objaś-  
nień, przypatrując się ze wzrastającą ciekawością aerosta-  
towi.

W istocie przedstawiał się on imponująco. Olbrzymie  
jego wrzecionowate ciało unosiło długą, lekką łódkę, kunszt-  
ownie zawieszoną za pomocą szerokich jedwabnych tasiem  
i sznurów; na pierwszy rzut oka materyał, z którego zrobiono  
balon, był podobny do metalu; wklęsnięcia jednak, powodowa-  
ne przez wiatr dowodziły, że to tkanina.

— Z czego sporządziłeś pan swój balon? — zagadnął Ford  
— to nie jest ani jedwab, ani kitajka.

— Jedwab, panie, pokryty lakierem, ściśle przylegają-  
cym; na powierzchni lakieru osadziłem galwanicznie cieniuch-  
ną warstewkę aluminium, która, śmiało twierdzą, prawie  
wcale nie przepuszcza gazu. Wodór może pozostawać we-  
wnątrz mego balonu przez trzy tygodnie. Inaczej nie zgo-  
dziłbym się na odbycie w nim podróży do bieguna.

Z aluminium jest także generator, machina i śruba.  
No, ale siadajmy; sami zobaczycie, jak się jedzie tym nad-  
powietrznym statkiem.

To rzekłszy, Gromski zajął miejsce przy maszynie.

— Pan, kapitanie, będziesz sterował — dodał, wraca-  
jąc się do Forda; — siadaj pan przy rudlu, oto sznurki; niech  
się panu zdaje, że jesteś na zwyczajnym jachcie. — Ford usi-  
dował się wygodnie na jedwabnym wiszącym krzeselku,  
za generatorem. James po krótkim wahaniu zdecydował  
się również wejść do łódki; wziął on z polecenia inżyniera  
w opiekę swą balast.

jacht

zał — prędkie

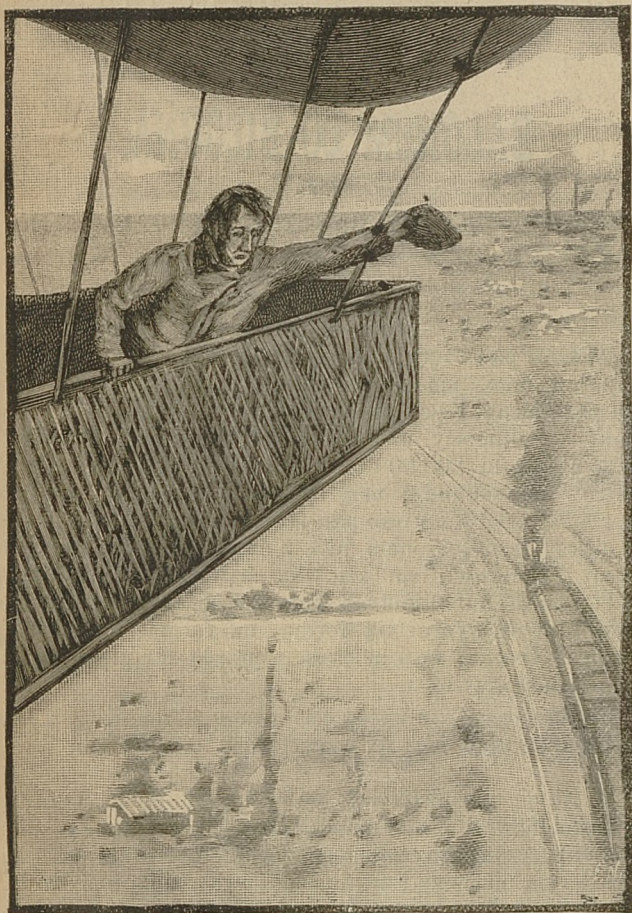
Inżynier zapalił benzynę w umieszczonym tuż obok maszyny piecyku, który dostarczał na początek paliwa, niezbędego do nadania ruchu motorowi i do zagotowania zawartości głównego zbiornika. W pięć minut potem śruba zaczęła się obracać.

— Puszczajcie liny! — zawołał Gromski. — Bacność, ruszamy! — dodał zwracając się do kapitana; — steruj pan pod wiatr, a ty James, wyrzuć jeden worek piasku.

Sternik usłuchał, i równocześnie aerostat począł się wznosić pomału.

Ford pociągnął za prawy sznurek, i statek powietrzny, posłuszny jego woli, zakreślił wielkie półkole.

— Prosto! — zakomenderował Gromski.



James wychylony z łódki przesyłał ironiczne ukłony...

Kapitan poczuł na twarzy silny wiatr; śruba, obracając się z szumem, głośnym warczeniem maszyny, ciągnęła aerostat w kierunku wskazywanym przez małą chorągiewkę. James, wyrzuciwszy worek piasku, patrzył na zapadającą się powoli ziemię.

Wzniósłszy się na sto metrów, balon mijał szybko park, należący do willi inżyniera; niebawem przeleciał ponad inną willą, potem nad łąką; drzewa zdawały się chyżo uciekać ku wielkiemu zbiorowisku domów, przykrytych szarym dymem, rozpraszającego się w przezroczystym powietrzu ponad wysokimi kominami fabryk. Było to Chicago; zdala poza niem, błyszczała jaskrawo w promieniach słońca wspaniała płaszczyna jeziora, upstrzona parowcami i barkami; dalej, jeszcze dokładniej, jak na mapie topograficznej, rysowała się czarna linja przeciwnego brzegu, przerywana fermami, nabłoczoną kryjącymi się wśród zieleni. Aerostat, płynąc ciągle pod wiatr, wiejący z szybkością trzech metrów z południa, równoległe do brzozy, przelatywał nad jeziorami, aż wreszcie przybył do porannego...

ny, stanowił uderzający kontrast ze spokojnym, niedostrzegalnym, cichym ruchem balonu.

James, wychylony z łódki, przesyłał ironiczne ukłony wyglądającym przez okna pasażerom. Odpowiedziano mu okrzykami; kilku yankeesów, stojących na platformie salonowego wagonu, salutowało naszych żeglarzy powietrznych wystrzałami z kieszonkowych rewolwerów. Niebawem aerostat prześcignął pociąg; jego długi, czarny cień ślizgał się po polach, otaczających plant. James śmiał się, widząc, jak pracujący fermerzy i ich pomocnicy podnosili głowy zatrzymując się, i ścigali wzrokiem balon; pasące się na łąkach bydło spostrzegłszy go, przestraszone uciekało, lub zbierało się w stada, jakby dla obrony przed wrogiem. Ford od czasu do czasu lekko pociągał za sznurki od steru i aerostat, powolny jego życzeniu, jak koń dobrze wytresowany, zbaczał natychmiast w prawo lub lewo, przelatując ponad drzewami, skałami, strumieniami i rozpadlinami. Przeszkody nie istniały dla niego. W tej chwili słońce zaszło poza chmurę; wodór w balonie nie podlegając działaniu ciepłych promieni, począł zmniejszać swą objętość. Łódka prawie dotykała wierzchołków drzew.

— James, wyrzuć jeszcze piasku! — zawołał kapitan.

— Pozwól pan! — przerwał mu inżynier — nie możemy zawsze liczyć na balast, tembardziej, że zabieram go bardzo niewiele. Poradzimy sobie inaczej. Gaz skurczył się więc trzeba go rozszerzyć, dodając mu ciepła. Patrz pan, otwieram ten kruczek od rurki, która jest połączoną z piecem i przechodzi do wnętrza balonu.

A co, wznosimy się! Gorące gazy spalania od razu podwyższają temperaturę wodoru; tym sposobem mógłbym wlatywać, nie wyrzucając wcale balastu; środka tego jednak używać zamierzam w takich tylko razach, kiedy chcę nie nadługo zwiększyć siłę wzlotu. Teraz zamykam kruczek, bo słońce znów zaczyna świecić i gaz rozszerza się.

Ale czas skończyć tę wycieczkę, kapitanie. Nasz aerostat może wrócić do miejsca, skąd wyszedł, pomimo że teraz ma wiatr trochę z boku. Czy pozostanę przy mojej woli, z której wyjechaliśmy przed kwadrans...

— Poznaję po tych cyprysach.

— Otóż skieruj pan przód łódki na...

Ford usłuchał, aerostat opadł o 80 stopni o promieniu 300-to metrowym i po...

Teraz szybkość jego zwiększyła się o 6 metrów na sekundę; nasi żeglarze zauważyli u siebie natychmiast z nagłego zmieniania się krajobrazów. Fermi i pola migwały i zaraz nikły, aby ustąpić miejsca nowym.

— To mi jazda! — krzyknął James zachwycony. — Inżynierze, wszystkie brygi żaglowe, wszystkie parowce, nawet transoceanowe steamery są niczem w porównaniu z twym statkiem powietrznym. Tam, do kroćset, wyścignęlibyśmy mewę i albatrosa!

— To jeszcze nic — rzekł inżynier; — gdybyśmy mieli silny wiatr, moglibyśmy pędzić dwa razy prędzej.

— Tak, ale tylko z nim — rzekł Ford — Zdaje mi się, że taki balon, jak pański, powinien unikać silnych prądów.

— Za...

nych. W...  
na 300...  
wiatry d...

większ...

kowi...  
ostat...  
się...  
le...  
rus...  
ma...  
i o...



S F I N K S .

żało postawić statek, ażeby nie zboczyć z obranej drogi. Balon, mknąc z szybkością, przenoszącą 64 km. na godzinę, w kilka minut potem znalazł się ponad parkiem, z którego wyruszył. Inżynier powstrzymał śrubę i wyrzucił linę, którą uchwycili jego ludzie. Aerostat drgał chwilę, poczem spoczął lekko na zielonej murawie.

— Dziękuję panu — rzekł James, ściskając z zapalem prawicę inżyniera w swej twardej dłoni; — póki życia nie za-

pomnę tej podróży. Dalibóg, nie warto jeździć po lądzie ani po morzu nawet. Od dziś rzucam ocean, i zamiast pływać po nim, przenoszę się w powietrze, czyli, jak to pan nazywa, zostaję żeglarzem powietrznym.

Inżynier, śmiejąc się, zapewnił sternika, że aeronautyka może się chlubić nowym swym adeptem.

Kapitan Ford wyraził w pochwałach swych podobne życzenie, co i James; obejrawszy raz jeszcze balon we wszy-

ólach, nasi marynarze udali się wraz z Gromskim i oczekiwało na nich doskonale śniadanie; Ford toastem wzniesionym za zdrowie „genialnego do- dzkkości”.

„Tak, — zawołał z zapałem; — pański wynaj- i przewrót w stosunkach ludzkich i pozwoli nauce rzymi krok naprzód!

„nam jeden wielki do bieguna — dodał James.

(d. c. n.)

## SFINKS.

W pobliżu Kairu, między innemi mieszcza się zwaliska j- nej świątyni sfinksa i uszkodzony już nieco, jak to wskazuje rycina nasza, posąg tego tajemniczego bożyszcza Egipcyan, którego nazwa po dziś dzień nadawaną bywa trud- nym do odgadnienia, zagadkowego usposobienia istotom.

## PRZYSŁOWIA.

Każdemu z nas się zdarzy powtórzyć jakieś przysłowie, stosując je do właściwej okoliczności. Przygania nam kto a sam nie jest bez wady, zaraz mu wypowiemy:

„Kociol garnkowi przygania, a sam smoli”.

Lubi się kto przechwalać z rozpoczętego lecz niedokoń- czonego dzieła, usłyszy:

„Nie mów, hop, aż przeskoczysz”.

I tak na każdą prawie chwilę życia potrafimy znaleźć właściwe przysłowie. Ale czyśmy się też zastanowili, skąd owe mądre słówka wzięły swój początek? A jednak muszą one być bardzo mądre, jeżeli tak każdemu do gustu przypadły i od tylu wieków ludzie je powtarzają. Słusznie więc te przysłowia zwane są mądrością narodów, boć każdy naród ma takie mądre słówka na zawołanie, któremi może odrazu do- skonałe odpowiedzieć.

Trudnobyśmy się silili znaleźć autorów wszystkich przy- słów u nas używanych; zapewne ktoś dowcipny umiał na razie trafnie odpowiedzieć, drugi to powtórzył, tak dalej i da- lej przeszły aż do nas.

Są jednak przysłowia, które ułożyli ludzie zajmujący znakomite stanowisko w literaturze; dużo takich przysłów pozostawił Mikołaj Rej, który żyjąc w XVI w. pierwszy zaczął pisać po polsku, zrobiwszy z narzecza małopolskiego język piśmienny. Cokolwiek mu pod oczy podpadło, cokolwiek usłyszał dobrego czy złego, zaraz, nie troszcząc się wcale o dobór wyrazów, mową swą jędrną a prostą, rymowaną lub nie rymowaną pochwalił lub zganił; bo jak sam powiada, chciał, aby jego mowa „jak młot doszła aż do głębi serca człowieczego”.

On to powiedział;

„Cnoty, prawdy, a miary strzeż jak oka w głowie”.

Gdy kto nieopatrznie źle się o innych wyrażał, zaraz usłyszał:

„Słowa są jako strzały, można niemi ugodzić”.

Kiedy kto udawał przyjaciela a w rzeczywistości nim nie był, Rej mu zaraz:

„Przyjacieli słodki jako chrzan”.

Zobaczył młodego człowieka, któremu się nie chciało puścić matusinej spódnicy, porzucił wygodnego życia w domu i gnusnie bez nauki marniał, zaraz mu rzucił od niechcenia: „Siedzi doma jako cielę u kołka”.

Wybrał się kto z niewłaściwą lub niemądrą radą, lub brał do rzeczy, których dokonać nie mógł, Rej powiadał: „Wybrał się jak z motyką na słońce”.

Lubowali się w owym czasie ludzie w przypowieściach i przysłowia, bo te krótko, węzłowato rzecz każdą określa- ły; najdawniejsza nawet książka drukowana, jaka doszła do

nas z r. 1521 jest zbiór rozmaitych zdań krótkich a dosad- nych. Książka ta nosi tytuł: „Rozmowy Salomona z Mar- chołtem”, kilka zdań z tej książki podajemy naszym czytelnikom.

„Ten który źle sąsiady miewa, o swej chwale przed wszystkimi śpiewa”.

„Kiedy się ja będę ganił, nie będzie mnie żaden chwalił”.

„Sęp dla tego łupi ptaka, żęły go zjadł nieboraka”.

Jeżeli wszędzie przysłowia mają wielką wartość, u nas tem większą; zastępowały one długie wywody filozoficzne, za- stępując pedagogikę, bo zamiast szukać sposobów nauczania związemi słowy wyrażaną naukę, trafiała odrazu do przeko- nania tak młodzieży jak i dorosłych.

Przysłowia więc stały się skarbem rodzinnej mądrości, a oprócz wyżej przytoczonych, wielkie zasługi na tem polu po- łożył Salomon Rysiński żyjący w XVI wieku, które go przy- sławia oprócz zawartej w nich mądrości mają wielką wartość pod względem jędrności i piękności języka, charakteryzując dosadnie cechy narodu.

Czy może być dokładniejsze określenie naszego charak- teru niestałego, skłonного do próżniactwa i robienia co się każ- demu podoba, jeżeli nie czuje nad sobą silnej dłoni, któraby go od tych wad powstrzymała, jak w przysłowiu:

„Bezpiecznie myszy biegają, gdy kota doma nie mają”.

Nieogłędny, którzy nic nie zostawili na zimę, Rysiński powiada:

„Spyta cię zima zarazem, byleś latem gospodarzem”.

Ale Rej takim nieogłędny sypie cały szereg przysłów i tak:

„Bo za one skoki, bolą nas więc boki”.

„A ono piwo, pito je co żywo, zapłać że ty za nie, miło- ściwy panie”.

„A w nocy się grało, w mieszku bardzo mało”.

Próżniakom zaś Rysiński, w ten sposób przymawia:

„Robiąc uziąbł, a jedząc zapocił się”.

Takim, którzy niechętni są do nauki powiada:

„Wodę ten czerpie przetakiem, kto bez ksiąg chce być żakiem”.

Dla tych co zmiągają się z prawdą, ma na pogotowiu:

„Tak to prawda, jak kiedy żywe kielbasy po świecie latały”.

Nieumiejący oszczędzać, szanować ani swoich ani cu- dzych rzeczy ma znów:

„Rozrzutny, tak tego używa, co ma, jak i tego czego nie ma”.

Przysłów takich możnaby podać cały szereg, poprzesta- jemy jednak na powyższych, sądząc, że podczas długich wie- czorów mogą posłużyć naszym czytelnikom przy zabawie, gdy z pojedynczych liter układają jakieś zdania, bawią się w przy- słowia, lub też z żywych osób takowe układają.

Z. Morawska.

## PO WŁASNYCH SIŁACH.

POWIEŚĆ

p. Bronisławę Porawską.

(Dalszy ciąg).

Umilkł, utkwiał wzrok błyszczący w miliardy gwiazd, które mu jaśniały promieniami nadziei, mrugały wesoło, przytakując myślom jego, jakby mówić chciały: śmiało chłop- cie! naprzód, wytrwania! wytrwania!

Chodzili długo. Stefan potrafił spędzić smutek z czo- ła chłopca i natchnąć go ufnością w przyszłość, i wiarą że ją zdobyć potrafi.

— Ja mogę ci to mówić — dodał, gdy się zbliżali już ku domowi — bo rozumiem co to jest iść o własnych siłach,

pracą od lat najmłodszych zdobywać sobie prawo bytu na ziemi. I ja od czwartej klasy myślę o sobie, tylko, że m zczęśliwszy od ciebie, mam rodziców, rodzeństwo, mam z kim dzielić radość i smutek, mam ukochanych, nie jestem sam na świecie.

Ale, jakby spostrzegł że zrobił wzmianką tą przykrość swemu młodemu przyjacielowi, uściśnął mu rękę, i rzekł wesoło:

— A teraz przybył mi brat młodszy, czy zgoda?

Jerzy z wdzięcznością uściśnął podaną rękę.

Gdy znalazł się w swoim pokoju, gdzie malcy spali już oddawna, dziwnie był wzruszony, i zdawało mu się, że jest starszym o lat kilka, widząc się w roli przełożonego; czuł że to wkłada na niego pewne obowiązki, które potęgował jeszcze w swej młodziutkiej wyobraźni.

Długo usnąć nie mógł, a gdy nareszcie znużenie wzięło w górę, zasnął tak mocno, że nie słyszał rano, jak malcy wstawszy wymknęli się z pokoju cichaczem, korzystając ze swobody, póki pan korepetytor zasypia.

A pan korepetytor istotnie spał do południa, i wielce zawstydzony wszedł do stołowego pokoju, prosto na obiad.

Żartowano trochę z niego, ale w sposób przyjacielski i grzeczny i Jerzy pozbył się zakłopotania, śmiejąc się ze wszystkimi, zapewniając jednakże, że mu się to drugi raz nie przytrafi.

Do pracy zabrał się z całą gorliwością, a istotnie trzeba było pracy, bo chłopcom dużo jeszcze brakowało, aby mogli zdać egzamin.

Z początku trudno było ich nakłonić do kilku godzin dziennej nauki, utrzymywali bowiem, że i oni powinni mieć wakacje, tembardziej że do szkół idą, ale w końcu Jerzy potrafił ich przekonać, że dla tego właśnie należy się więcej uczyć, aby stanąć odrazu między pierwszymi.

Wkrótce chłopcy pokochali swego korepetytora, bo Jerzy, mimo powagi dojrzałego wieku, umiał być wesołym i po lekyach wybornie się zabawiał z malcami.

Zabawy te właśnie miały największy wpływ na chłopców, wbijało to ich w ambicję, że pan korepetytor *trzymał z nimi*, obawiali się utracić prawa do tej zażyłości z której byli dumni, i oddawali się pracy z zapałem.

W kilka dni, p. Kaliński zaproponował Jerzemu, aby pojechał z chłopcami do Wólki, do p. Szarockiej, u której to właśnie Stefan przyjął na wakacje miejsce korepetytora, do jedynego jej syna Witolda.

Witold był kolegą Jerzego, ale wypieszczony jedynak bogatej matki, która jego jednego miała na świecie, nie zaprzyjaźniał się wcale z Jerzym, a nawet mało na niego zwracał uwagi.

Witold, w gimnazjum dobry chłopak, skutkiem pieśczości stał się prawdziwym despotą, przytem zarozumiały i dumny, mało miał przyjaciół między kolegami, a do biedniejszych sam się zbliżać nie chciał.

Jerzy teraz dopiero dowiedział się o bliskiem sąsiedztwie kolegi, i nie miał wcale chęci na tę wizytę, nie śmiał jednak wymówić się, i chociaż czuł pewien niepokój i niezadowolenie pojechał, krzepiąc się tylko otuchą, że Stefan weźmie go tam w opiekę.

P. Kaliński wymyślił te odwiedziny tylko dla Jerzego, chcąc aby się chłopiec rozerwał po pracy, ani przeczuwając, że tenże stokrót byłby wolał pozostać w domu, gdzie się czuł swobodnym zupełnie.

Stefan z nieudaną serdecznością powitał Jerzego i z tąż samą serdecznością przedstawił pani domu, która go powitała uprzejmie.

Była to osoba niezbyt młoda, o miłej i łagodnej twarzy, znać było na niej wyraz cierpienia minionych, które pozostawiły ślady w smutnym uśmiechu, okalającym blade usta. Wdowa od lat dziesięciu, żyła już tylko dla jedynego syna, który jej z kilkorga dzieci pozostał i to cudem prawie uratowany w dzieciństwie z niebezpiecznej choroby.

Że była dla tego jedynaka słabą i pobłażliwą, któż jej

się dziwić może? Nadto wiele przeszła w życiu, i hartu duszy nie stało na prowadzenie jedynaka, nadużywającego dobroci matki.

Witold spostrzegłszy jak Stefan, który dla niego był surowym, uprzejmie wita Jerzego, skrzywił pogardliwie usta i przymrugłszy nieco oczu, podał mu rękę z protekcyjonym uśmiechem.

Jerzego powitanie to onieśmieliło, a zarazem ukłóło w serce.

Stefan spojrział na Witolda, który pod wymownym wzrokiem nauczyciela, zarumienił się nieco.

— Toż wy koledzy z Witoldem — rzekł Stefan, zawiązując rozmowę — z jednej klasy i podobno z jednej ławki.

Jerzy pytający wzrok utkwiał w Witoldzie, który mimo że uczył się dobrze, był przecież o parę ławek poza nim.

Poraz drugi Witold się zarumienił, gdyż niebacznie pochwalil się, że należy w klasie do pierwszych.

Jerzy wymijającą dał odpowiedź, lecz bystre oko Stefana dostrzegło, że Witold minął się trochę z prawdą.

Jakkolwiek Stefan spostrzeżenia swego nie dał poznać, Witold czuł jednakże dobrze, że został skompromitowany. Mimo rozlicznych wad swych i nie oglądania się na nieczyję opinię, chłopiec tym razem mocno zdrażnionym został w swej dumie. To go jeszcze więcej zniechęciło do Jerzego, i po kilku minutach poszedł do swego pokoju, a wzięwszy jakąś książkę ze stołu, rzucił się niedbale na sofę, i pozornie utonął w czytaniu.

Przez uchylone nieco drzwi, Jerzy mimowoli ujrzał lekceważące postępowanie Witolda, i biedny chłopiec znalazł się w przykrem położeniu gościa, któremu gospodarz niemal drzwi pokazuje.

Stefan zrozumiał myśl Jerzego i roześmiał się głośno, rzekł tak, aby być słyszany przez Witolda.

— Nie uważaj tego za niegrzeczność, że nas Witold opuścił, rozumie on dobrze obowiązki względem gościa, ale dziś od rana cierpi ból głowy. Sądzę jednak, że mu to przejdzie wkrótce, a tymczasem pójdziemy może do ogrodu, chłopcy się bawią, a my pogawędzimy swobodnie.

I wyszli.

Witold zerwał się, i rzucił książkę o ziemię.

— Nie wiem kto go prosił aby mię tłómaczył — zawołał gniewnie — niechby sobie myślał coby mu się podobało, co mię to obchodzi, ja z nim w przyjaźni nie będę. — Targał czuprynę, i chodził prędko po pokoju, mówiąc do siebie:

— Niegrzeczność względem jakiegoś tam korepetytora! Kolega! Tych kolegów mam trzydziestu, wszystkich ich kochać nie będę, ani zapraszać do siebie. Oni sobie, ja sobie, a pan Stefan nieznośny ze swojemi moralami i zasadami. Demokracja, łatwo być demokratą jak się niema majątku... Ot, teraz naprawdę głowa mię rozboleła ze złości.

Tymczasem Stefan prowadząc rozmowę z Jerzym, coraz większą czuł serdeczność dla młodego chłopca, w którym rozpoznawał prawość charakteru, odwagę i wiarę w swe siły, a tkliwa miłość dla sędziwej babki, i przejęcie się obowiązkiem aby jej starość uczynić wygodną i dostatnią, przeistaczała dzieciaka w człowieka dojrzałego i rozumnego.

Być może, że marzenia i nadzieje chłopca wzbijały się młodego orła skrzydłami, to pewna jednak, że był to lot na szlaki czyste i proste, dążył do celu szerokim gościńcem, nie kryjąc się po manowcach, i nie szukając drożyn krętych i ciemnych.

— Gdy zostałem zwolniony od opłaty szkolnej — mówił Jerzy — wszystko zdaje mi się być łatwym, potroję mej pracy i skończę szkoły, ba, i na tem nie przestanę.

— Ja myślę — rzekł Stefan z uśmiechem — kto kocha naukę dla nauki, to przyłożywszy raz usta do czary, już mu się od niej nie oderwać do końca życia.

— Prawdę pan mówisz — odrzekł Jerzy w poważnem zamyśleniu — czułbym się najniezszczęśliwszym, gdybym się uczyć nie mógł, i zdaje mi się, że gdyby mi kto dawał dziś miliony z warunkiem, abym przez całe życie nie wziął książki do ręki, nie przyjąłbym, o nie!

Wtem myśl jakaś przesunęła mu się widocznie, bo przysłonił ręką oczy, i szepnął sam już do siebie:

— Nawet dla babki.

Rozmowę przerwał służący, który ich poprosił na podwieczorek.

W stołowym pokoju zastali już p. Szarocką i Witolda, który stał przy oknie i bębnił palcami po szybie.

P. Szarocka uprzejmie zaczęła rozmawiać z Jerzym, i widocznie chłopiec mile na niej zrobił wrażenie, bo z rodzajem wymówki spojrzała na pochmurną twarz syna.

— Pan kolegujesz z Witoldem — rzekła po chwili — sądziłam, że jesteście w bliższych stosunkach, że się widujecie i poza klasą.

— Ja, proszę pani, nie mam czasu na przyjemności — odrzekł Jerzy szczerze — muszę pracować, aby choć cokolwiek przyjdzie z pomocą sędziwej mej babce, której fundusze nie wystarczają na nasze potrzeby.

— Więc pan netylko nad sobą, ale i dla siebie pracujesz? — rzekła p. Szarocka z coraz większą serdecznością spoglądając na młodego chłopca — w tym wieku, to chyba nadto na siły takiego dziecka prawie.

— Skończyłem lat czternaście — odpowiedział Jerzy — i do pracy mam już dość siły.

— Pan dajesz korepetycje?

— Dotąd miałem godzinę korepetycji i godzinę czytania wujowi pani Kalińskiej, ale teraz postaram się o więcej.

— Czy nie będzie nadto?

— Zdaje mi się że nie; mam już źródło z którego czerpie siłę i wytrwanie.

— Cudowne jakieś źródło — rzekła p. Szarocka z życzliwym uśmiechem, spoglądając na Jerzego — i jakaż to jego nazwa?

— Imię chrzestne Miłość, a nazwisko Wdzięczność — odpowiedział Jerzy ze swobodą, ośmielony widoczną dobrocią i życzliwością pani domu.

— I imię i nazwisko piękne, i niewyczerpane istotnie gdy są prawdziwe — rzekła p. Szarocka zwracając się do syna — czy prawda Witoldzie?

— Zagadkowa to dla mnie rozmowa, i przyznam się mamie, że nie wiele na nią zwracałem uwagi — odpowiedział Witold z widocznym niezadowoleniem i dość szorstko.

— Szkoda! — szepnęła p. Szarocka.

Rozmowa podtrzymywana przez Stefana toczyła się żywo, przechodząc z przedmiotu na przedmiot, a p. Szarocka coraz więcej była zdumioną trafem i nie na chybił trafił, jak to mówią, wypowiedanem zdaniem Jerzego. Witold prawie w rozmowie nie brał udziału, widocznie niezadowolony z wizyty i ze wszystkich.

Gdy przed wieczorem Jerzy żegnał się z panią Szarocką, rzekła do niego.

— Odwiedzaj nas pan częściej, zawsze mile witany będziesz, pragnęłabym bowiem, aby syn mój znalazł w tobie przyjaciela.

— Czy mama nie uważała, że p. Jerzy nie ma czasu na żadne przyjemności? — rzekł Witold chłodno.

— Jakto? koledzy z jednej klasy, nie mówicie sobie nawet po imieniu? — zapytała ze zdziwieniem p. Szarocka.

— Tak mało z sobą obcujemy — tłumaczył Jerzy z pewnym zakłopotaniem — poza obrębem klasy nie widzujemy się wcale, w klasie zaś niema prawie chwili czasu na rozmowę i zabieranie stosunków.

— Szczególniej gdy kto nie chce — wtrącił Stefan z uśmiechem.

(d. c. n.)

### Łamigłówka w trójkącie.

*KARTAGINA* Zapełnić kropki literami, aby rząd pierwszy oraz pierwsze litery utworzyły nazwę miasta zburzonego przez Scypiona Afrykańskiego. Znaczenie wyrazów w dalszych rzędach: 2. Zwierzę z rzędu przeżuwających, z rodziny kóz. 3. Zwierzę z rodzaju ssących drapieżnych, żyje także na Syberii, daje futro kosztowne. 4. Miejsce urodzenia św. Pawła Apostoła. 5. Roślina z rodziny grubo-liściennych. 6. Nazwa części wagi aptekarskiej. 7. Rzeka w Grecji zwana w starożytności Eurotas. 8. Przyimek. 9. Samogłoska.

### Szarada w nitce Aryadny.

ką	sa	tru	je	ka	te	go
sen	cza	gie	gdy	rzad	co	od
rze	czy	dru	ku	wość	ga	nie
dej	trze	wy	la	li	bo	to
każ	cie	wal	fa	nik	jest	za
kle	rzy	be	cie	prze	gad	ka
zwy	szy	wa	to	wsze	Pier	*

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go.

*Szarady:* A t o m.

### Rebusa:

1. Wiatrak.
  2. Aniołek.
  3. Rak.
  4. Słoń.
  5. Zamek.
  6. Afisz.
  7. Wianek.
  8. Alfabet.
- Warszawa.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4 k. 10, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 k. 10 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

**TREŚĆ:** Kruki (drzew.) — Na morzu. — Balonem do bieguna p. Wł. Umińskiego (z drzew.) — Sfinks (z drzew.) — Przysłowia p. Z. Morawską — O własnych siłach, p. Bronisławę Porawską. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Mrówkojad (z drzew.) — Mnie tam nie było, wiersz p. Z. Morawską. — Jędrus p. H. Wernica. — Która lepsza p. Romanie Kamieńską. — Odwaga i zuchwałość p. M. P. — Łamigłówki i rozwiązania — Skrzyńka do listów. **Dodatek książkowy:** Wśród puszczy meksykańskich.



# WIECZORY RODZINNE.



MRÓWKOJAD.

## MRÓWKOJAD.

Mrówkojady należą do klasy zwierząt bezzębnych. Sama ich nazwa wskazuje, iż żywią się mrówkami, termitami, których wielkie siedliska w kształcie pagórków licznie są rozsiane w Ameryce południowej. W owej części świata żyją też największe mrówkojady, a to głównie w północnej części Paragwaju mało zaludnionej.

Dodatek do N. 3, 1892 r.

Przednie łapy mrówkojada zakończone są czterema palcami opatrzonemi bardzo ostremi pazurami. W tych łapach i pazurach spoczywa cała moc obrony mrówkojada; niemi też rozdrapuje wielkie mrowiska, poczem zanurza w nie długi, lepki płynem pokryty język, do którego przylegają nieszczęśliwe mrówki, poczem mrówkojad wciąga język i zjada je. Ma on też swoich nieprzyjaciół: polują nań tygrysy, jaguary, lecz biada im,

jeśli w porę dostrzeże ich mrówkojad. Wówczas staje na krótkich, tylnych łapach, w górę wznosi przednie i nagłym ruchem zapuszcza straszne pazury w ciało nieprzyjaciela. Nasza rycina przedstawia właśnie chwilę takiej walki, w której mrówkojad pomści zapewne młode swoje zduszone już przez straszego jaguara. Mrówkojad, o ile nikt zaczepki z nim nie szuka, należy do zwierząt nieszkodliwych. Ruchy jego są ciężkie, niezgrabne, a gdy spoczywa zwinięty w kłębek, przypomina rzuconą na ziemię wiązkę włosów. Sierść bowiem ma dość ostrą, grzbiet pokryty jest długą czarną prawie grzywą, na głowie zaś ma sierść krótką, popielatą obłożoną na bokach białym pasem. Mrówkojady nie mają stałego siedliska, dzień cały blakają się po stepach Paragwaju szukając pożywienia, śpią zaś tam, gdzie je noc zaskoczy.

A. M.

## MNIE TAM NIE BYŁO.

Ktoś szczerknął talerzem i oto dwie białe  
Leżały w pokoju rozbite skorupy.  
I któż je tak rozbił? Zmartwienie nie małe,  
Lecz nikt się nie przyznał; to nie jego łupy,  
Bo któż tam wojuje z talerzem na stole?  
To znowu spadł kwiatek, rozbił się w kawały,  
Ten właśnie co liśćmi, jak osa, tak kole;  
Dzieci się w kąciku serdecznie rozśmiały,  
Lecz żadne się kwiatka nie tknęło — skąd? kiedy?  
Żadne tam nie przeszło, ani też trąciło.  
Któżby chciał narobić i szkody i biedy?  
A każdy powtarzał:

„Wszak mnie tam nie było”.

Jaś mały spadł z krzesła, rozbił się nieboże,  
Nikomiu z rodzeństwa jednak się nie śniło,  
By Jasia pilnować. Jaś powstać nie może,  
A każdy powtarza:

„Wszak mnie tam nie było”.

Ktoś lampę wykręcił—w pokoju aż czarno,  
Dym oczy wyżera i szkło się rozbilo;  
Wśród tego wołają i głośno i gwarno:  
„Doprawdy ja nie wiem, wszak mnie tam nie było”.  
Tak ciągle dzień cały do koła wołano;  
„Ktoś szkodę uczynił!” Aż słuchać nie miło  
Bo czy to w południe, wieczorem, czy rano  
Wciąż każdy powtarzał:

„Wszak mnie tam nie było”.

Z. Morawska.

## JĘDRUŚ.

Ulitujcie się nad kaleką! — mówił do przechodniów starzec o kulach. Głos jego pełen prawdy, oblicze nacechowane wielkim cierpieniem wzruszyły idącego z matką Jędrusia. Chłopczyk wyjął portmonetkę, otworzył, była pusta! Zarumienił się, podbiegł do matki i poprosił o parę groszy; poczem wrócił i włożył jałmużnę swą w czapkę ubogiego.

— Niech cię Bóg błogosławi! — szepnął kaleka.  
Podczas obiadu Jędrus opowiadał ojcu o tem spotkaniu.

— Czy dopomogłeś kalece? — spytał ojciec. — Czy dałeś mu jałmużnę?

— Dałem — odrzekł nieśmiało.

— Dałeś, to prawda, ale nie ze swoich pieniędzy — odezwała się matka. — Jak zwykle tak i tym razem zażądałeś ich odemnie.

— Dla czego to uczyniłeś? — spytał ojciec; — wszak dostajesz co tydzień swoją pensyjkę, z którą wolno ci robić, co ci się podoba.

Jędrus zafrasował się i rzekł:

— Prawda ojcze, chciałbym dopomóc ubogiemu, ale cóż pocznę, kiedy zwyczajnie spotykam go wtedy, gdy w kieszeni nie mam już ani grosza,

— Dziwna ta twoja litość — rzekł ojciec. — Żal ci biednych, chciałbyś im dopomóc, ale łakomstwo bierze górę nad litością. Chciałbyś dopomóc ubogim, lecz nie myślisz o nich; a kiedy sam nie masz pieniędzy, prosisz o nie matki. Wygląda to tak, jakbyś zabierał jednemu, aby dawać drugiemu; takiego postępowania nazwać nie można litością.

Litościwym będziesz tylko wtedy, kiedy sam pozbawisz się przyjemności aby dopomóc biednemu.

Widocznie słowa ojca poskutkowały, gdyż odtąd przechodząc koło ubogiego, Jędrus nie prosił już matki o pieniądze, lecz sam dawał jałmużnę.

H. Wernic.

## KTÓRA LEPSZA.

— Pójdź tu Murzyn! Murzyn! do nogi... widzisz co dla ciebie przyniosłam? Skrzydełko z kurczęcia. No, czegoż tak leniwie podnosisz głowę? Powstań przecież, podskocz w górę, na taki przysmak zasłużyć trzeba.

Brytan dźwignął połowę ciężkiego ciała, lecz zobaczywszy, że Walunia podnosi ogryzioną kosteczkę i zachęca go do skoku, wrócił do pierwotnego położenia, a przechyliwszy głowę na bok, zaczął spokojnie przypatrywać się swej wyciągniętej łapie. — Nieokrzesany z ciebie podwórzowiec, no, weź już teraz kosteczkę i powiedz, która z nas lepsza: czy ja, która pomyślałam o tobie przy stole i taki przysmak ci przynoszę, czy Zuzia, która daje ci codziennie obrzydliwe jedzenie w cebrzyku?

W tej chwili Zuzia wychodziła z piwnicy z workiem kartofli na ramieniu; Bryś dojrawszy ją, zerwał się na równe nogi, zaskomlił wesoło i zaczął uwijać się około dziewczyny, łaszcząc się i przymilając na swój sposób.

Walunia rzuciła kosteczkę na ziemię, zamyśliła się chwilę, a przeprowadzając wzrokiem Zuzię i Murzyna, rzekła do siebie:

— Murzyn mi dowodzi, że Zuzia lepsza — tak... ona lepsza, bo codziennie o głodnym pamięta.

Romania Kamińska.

# ODWAGA I ZUCHWAŁSTWO.

PRZEKŁAD Z ANGIERSKIEGO M. P.

(Dalszy ciąg).

— Dlaczego mama nazwała Julka odważnym? — spytałem trochę urażony — przecież to ja się nie bałem szkarlatyny.

— Bo przewyciężył chęć pożegnania mamy, a ciebie ta chęć przewyciężyła.

Pocieszyłem się myślą, że zwykle jestem odważniejszy od Julka i niedługo o całej tej sprawie zupełnie zapomniałam. Tyle było nowych rzeczy do oglądania! zacząłem układać rozmaite plany i rozmyślać nad tem, jak przepędzimy te zachwycające i zupełnie niespodziewane wakacje. Zdaje mi się, że niebardzo uważałem na to co nam ojciec mówił w powozie; jak przez sen sobie przypominam, że dawał nam przestrogi, jak mamy się zachowywać, jak często pisać do domu i co powinniśmy od ojca pani Blossom powiedzieć.

Gdyśmy przybyli na dworzec, ojciec wziął bilety i dał mi je do schowania, ale ja je natychmiast zgubiłem, bo po platformie uwijał się duży, czarny pies, któremu podróżni kładli na nos ciastka, a on je podrzucał w powietrzu i chwycił zębami. Naturalnie, że w takim razie o niczem innym nie mogłem myśleć. Dowiedziałem się że ich niemam dopiero kiedy pociąg miał ruszać, i ojciec się zapytał: „Tomku, gdzie masz bilety?” a ja ich nigdzie znaleźć nie mogłem. Możecie sobie wyobrazić jakem się przestraszył, to też z wielką radością dowiedziałem się, że je ojciec ma w kieszeni, bo widział jak padały i podniósł je natychmiast, a tylko nic nie mówił umyślnie, żeby mię przestraszyć. Ale już na drugi raz ojciec dał bilety nie mnie, ale Julkowi, co mię bardzo rozgniewało i zasmuciło. Potem odezwał się dzwonek, lokomotywa świsnęła, ojciec zawołał „do widzenia” i pociąg ruszył.

W naszym przedziale był tylko jeden staruszek a i ten wysiadł na pierwszej stacyi, tak że resztę drogi odbywaliśmy sami. Podróż nasza miała zaledwie trwać półtorej godziny; nam się jednak zdawało, że każda stacya to Silverhill i że nigdy tam nie dojedziemy.

Nareszcie pociąg się zatrzymał, konduktor zawołał „Silverhill” a myśmy wyskoczyli z pociągu, zanim jeszcze zupełnie stanął. Na peronie ujrzelśmy dużego, barczystego człowieka, który się do nas zbliżył i zapytał: „To wy jesteście synowie pana Carter? Choćbym niewiedział, tobym was jednak zaraz poznał, tak jesteście podobni do ojca”. Mówiąc to, wziął nasz tłumoczek i poszedł szybko przez łąki i pola, a myśmy szli za nim.

Przez drogę prawie się nie odzywał, bo z natury był milczący, a szedł tak szybko, że ja ledwie za nim zdążyć mogłem, a Julek całą drogę musiał biedz.

O zachodzie słońca stanęliśmy przed fermą; na podwórku stało kilkanaście ślicznych krów, które spokojnie przeżuając paszę odwracały głowy i przyglądały się obojętnie dwóm ludziom, niosącym olbrzymie adra pełne ciepłego, pianą pokrytego mleka. Trzeba było przejść pomiędzy niemi, co nie mało strachu napędziło Julkowi, bo krowy stały tak blisko, żeśmy się pra-

wie ocierali o ich rogi, a dzierżawca musiał je nieraz uderzyć ręką po grzbiecie, ażeby ustąpiły nam z drogi. Przez bramę wpadły tłumnie świnki, głośnem chrząkaniem domagając się wieczery, a jedna z nich przebiegła tuż koło mnie tak że o mało mię nie przewróciła.

Mimo tych przeszkód doszliśmy szczęśliwie do fórtki, od której ceglami wyłożona dróżka prowadziła do domu; na progu stała pani Blossom, żeby nas powitać. Stado białych gołębi z szelestem zerwało się ze ścieżki i zakręciwszy się w powietrzu usiadło na dachu starej stodoły i wielki pies wyskoczył z głośnem ujadaniem ze swojej budki, ale na wołanie pana Blossom: „Będziesz mi tu cicho, stara czarownico” schował się mrużąc gniewnie.

— Chwała Bogu! myślałam, że już nie przyjdziecie! A to są nasi kochani goście? Pan Tom jak dwie kropkle wody do ojca podobny, malutki pan Julek trochę go mniej przypomina. Doprawdy, jak na was patrzę, dawne czasy mi się przypominają. Ale ja się tu rozgadałam, a oni biedacy pewnie umierają z głodu, natychmiast pójde i wszystko przygotuje.

Prowadziła nas przez kuchnię, którą zdobił wielki komin, szafa dębowa i mnóstwo polci słoniny zwieszających się od pułapu, do tak zwanego „saloniku”. Zakrzętnęła się, nakryła do stołu i na białym obrusie położyła ogromny bochen chleba, z którego by można wykroić ze dwanaście zwykłych londyńskich bochenków, spory kawał żółtego masła, wspaniałą szynkę, i tyle konfitur że wystarczyłoby dla wszystkich dzieci któreśmy znali. Wyjęła także najładniejszy swój porcelanowy serwis, cały biały, ze złotą obwódką, a każda filiżanka, miseczka każdy mlecznik a nawet cukiernica były ozdobione portretem Jerzego III.

Wzięliśmy się z zapalem do tych przysmaków, a pocziwa pani Blossom przysuwała nam coraz co nowego, dolewała herbaty, i patrzyła na nas z takim dołbrym, serdecznym uśmiechem, że tem samem dodawała nam apetytu.

Po herbacie poszliśmy obejrzeć dom, ogród i całe gospodarstwo, i takeśmy się zmęczyli, żeśmy z przyjemnością udali się na spoczynek do pokoju położonego nad salonem. Pokój ten miał wielkie okno zwrócone na ogród, popaczoną podłogę, a obok łóżka stała ciemna, tajemnicza szafa, na którą Julek bał się spojrzeć. Chociaż wszystko to wydało mi się dziwne, jednak z wielką przyjemnością wsunąłem się pod prześcieradło przeniknione zapachem lawendy, i było mi miękko i wygodnie w tem olbrzymiem łóżku okrytem białemi firankami w czerwony deseń, przedstawiający przygody Dick'a Turpina; przypominam sobie, że gdy pani Blossom świecę zgasila a ja oczy zamknąłem, to postanowiłem zostać rozbójnikiem, jeżeli się ojciec temu nie sprzeciwi, a ja sam o tyle będę silny, że konia w galopie powstrzymam.

### III.

Szkoda, że nie mogę wam opowiedzieć nawet polowę figłów, któreśmy splatali w Oatsland (tak się nazywała posiadłość pana Blnsom) szkoda także, że nie potrafię wam przedstawić, jak nam wesoło czas schodził,

ileśmy mieli radości i uciechy. W pierwszych dniach zachowywaliśmy się bardzo spokojnie, tak że nawet pani Blossom powtarzała: „Nigdy w życiu nie widziałam takich grzecznych dzieci”. Ale wkrótce wszystko się zmieniło. Posłuszeństwo nasze znikło wraz z odświętnem nakryciem do herbaty, a dobre zamiary (przynajmniej moje) pojechały z pierwszym listem do domu. Teraz pani Blossom mówiła: „Nigdy w życiu nie widziałam takich chłopców” i miała słuszność, bo nie było dnia, nie było godziny, żebyśmy nowego figla nie splełali. A jednak nie zdarzyło się ani razu, żeby nas pocziwa pani Blossom naprawdę połażała, i gdy wracaliśmy do domu zabłoce- ni od stóp do głów, przemokli do nitki, albo gdyśmy wywrócili garnek z mlekiem, lub zamknęli kota do spiżarni, podnosiła ręce do góry i wołała: „Mój Boże, co to za chłopaki!

Sam fermer miał niewyczerpany zapas cierpliwo- ści: gdyśmy już zanadto się rozbrykali, mówił tylko ki- wając głową; „No, spodziewam się, że na drugi raz bę- dziecie rozsądniejsi”. Nie mogę nawet zliczyć ile razy szukając gniazd ptasich, łamaliśmy jego cieniutkie płot- ki, ile razy puszczailiśmy krowy na nieskoszoną łąkę, al- bośmy zapędzali prosiaki do ogrodu, a on za te wszyst- kie psoty nigdy się naprawdę nie gniewał. Widząc łagodność i pobłażliwość tych pocziwanych ludzi nie po- wstrzymywaliśmy się w niczem i zdziczeliśmy jak zające w polu.

(d. c. n.)

**SZARADA.**  
przez Ewę Maryę.

Część mowy *pierwsze*, *drugie* w wodzie pływa;  
Razem się miasto u nas tak nazywa.

**Kwadrat czarodziejski,**

a	a	a	a
n	n	n	n
r	r	r	r
o	o	o	o

Z głosek umieszczonych w kwadracie, ułożyć czte- ry wyrazy, mające następujące znaczenia:

1. Legowisko dzikiego zwierza.
2. Pora przedpołudniowa.
3. Rzeka we Włoszech.
4. Miara pewnego obszaru pola.
5. Wykrzyknik, lub odwrotnie zaimek osobowy.

**ROZWIĄZANIA DO N-ru 49-go.**

*Szarady:* Niezapominajka.

*Łamigłówki w trójkacie:*

L e n i w i e c  
E k w a t o r  
N a r w a l  
I n d y k  
W i l k  
I d a  
E h  
C

**Skrzynka do listów.**

Redakcja od siebie, ja zaś od siebie drodzy moi, dziękuję wam za życzenia świąteczne i noworoczne. Nie wątpię, że gdyby się wszystkie spełniły, nichym już więcej pragnąć nie potrzebowa- ła, ale... dobre serca życzą „wszystkiego najlepszego”, a Pan Bóg sam rozporządza życzeń tych spełnieniem i to podobno *najlepsze*.

Świątecznym wakacyom waszym zawdzięczam mnóstwo mi- łych liścików od dawnych i nowych znajomych. Do najdawniej- szych liczę ciebie **Niezapominajko z nad Warty**, nie wiedziałam jed- nak, że w marzeniach swoich miejsce dajesz morzu. Co do mnie, nie pragnę dalekich wędrówek: a chociaż los Janka sieroty zajmo- wał mnie równie żywo jak ciebie, **Mgło wieczorna**, nie zazdrościłam mu wycieczki na Atlantę. Wspominasz o Księżniczce? alboż to mało przygód i wzruszeń mieści się w jej życiu? Wszędzie i wszystkim użyteczną być można, skoro jest dobra wola po temu; za przy- kład ty mi służyć możesz, **Biała karto**, swoim pytaniem. Skraw- ki płótna, perkalu i wszystkie inne, chętnie są przyjmowane w Red. Kroniki Rodz., która je odsyła do Schron. Nieuleczalnych. Stanowią tam one jeśli nie rozrywkę, to przynajmniej sposób zabicia wolno wlokącego się czasu dla biednych chorych, którzy z nich robią skubanę. Do nich to zastosować można słowa twoje, **Różowa gałązko** że „starość nie radość”; do siebie stosować ci ich nie wol- no, bo chociaż staruszką już jesteś, sama przyznajesz, że doznałaś dwóch wielkich radości. Przyłącza się jeszcze do niej tęsknota za miłemi liścikami waszemi, drodzy moi; któż bowiem i gdzie serdeczniej do mnie przemówi jak ty, **Wróźbiarko szczęścia**, albo ty, **Kuropatewko z nad Warty**, mała siostrzyczko, która mi przy- syłasz „serdecznego calusa”. Wywzajemniam ci się takim samym i pomimo różnicy lat naszych ze szczerą radością witam foremne twoje literki. Pamiętam, że pisując w dwóch lniach jak ty te- raz, miewałam zawsze złe stopnie z kaligrafii. **Kindze** donoszę w odpowiedzi, że konkurs kaligrafii niedługo zostanie ogłoszonym; o warunkach jego doniesie wam Redakcja. Obiecujesz, że należec będziesz do niego; nie naśladujesz więc w nieśmiałości leśnego kwiatka, **Medunki**, która „nie ma odwagi należeć do konkursów”. Droga moja! czyż nasza Redakcja jest tak strasznie surową? Do- brze przynajmniej, że ci się sprzykrzyła samotność; obietnicę za- przyjaźnienia się z nami przyjmuję z wdzięcznością. Mniej za to wdzięczną jestem za polecenie dane mi przez jedną z panienek: mam zburzyć brata jej, **Stolarza**, za to, że nie pisuje do nas. Sądzę, że gdyby wiedział, ile przyjemności sprawiają liściki na- szych czytelników, to by mniej skąpił swego pisma. Milczenie **Libelli** dziwić nas już zaczynało. Chwała Bogu, że influenza, tak groźna w tym roku, szczęśliwie ci przeszła, ale jakoś nie zdaje mi się, żeby ci pozwolono używać ślizgawki po świeżo przebytej cho- robie. Na samym końcu tobie, imieniemżko moja, **Goląbko z nad Wisły** dziękuję za obietnicę częstszego do mnie pisywania, rów- nież jak i za pamięć o ubogich dzieciach. Pamiętali o nich tak- że: **Medunka**, **Benjaminek**, **Mania**, **Julcia**, **Henio**, **Wesoła Leśnie- rzanka**. **Figlarka** i **Jagódka z pod Arkadyi** przysłały dla ubogich sukienki ciepłe i porządnie uszyte. Dziękuję wam za pociesze- nia serca prętem Bóg zapłać, a kto tak współczuje niedoli **Figlarki** sam dozna także współczucia, które ja mam w tej chwili od **Figlarki**. Zawsze wasza **Goląbka**.